

Jeziore nie liliu zimowych miesiecy, gdy okrywala je lodowa powieka, patrzylo na niebo. Bolehit nosenny, bladosc upalnego firnamentu, stada chmur ~~przez~~ parosiermionych, przegladaly sie w toni dzieci po dniu. Tule z biatymi gwiebieniemi wolno sily do brzegu i mscily obraz nieba i zostawialy na wilgotnym piasku drobne kamuski, zaburzone kolanka zeslonowanych traw, musle, a niekiedy szeregialy od stanowci kawałek zgubionego niosta.

Miasteczko nad wodą, bylo nieduze, ot, cietny mliski z rybnikiem w ciemiu koscista. Za dnia jednaki kipiat ~~z~~ turkotem wozow, stukaniem mlotow i spiewaniem dziewczyn wyprawiajacych sieci.

Smier wód, oddech jeziora, slyszaly sie dopiero nocą. Wówczas przybijal fal poruszał owe odłamki, chumy, zidbia lezace w zrudziatym piasku u brzegu i to bylo jak mocne westchnienia niewidzialnego obrazu.

~~Druga~~ Droga, mijala sie tu w toni, podcinata miasteczko biatziolta, lwerlis. Przeglada adaleka, od wielkiej szosy, a kierowala sie ku ciemnym borom, litoke mozna bylo zobaczyc wyprzedzajacy na gazolki za ~~miasteczkiem~~ cegielnia.

W roku najny cegielnia opustoszata. Wlozil niedymniscy ludziom sirogozaty stali, a we wuszlach wypastego pieca gniezdily sie ~~z~~ zidricate kroliki, ktore przynudowaly tu z jakiej opuszczonej zagrody.

Taki to byl czas, czas pustli, czas nicoranych pol, czas drog zatloczonych niekimiuchami i nocą czerwonych od tony. Moze dlatego w starej cegielni prier krolikiow zamienial jenne ktos. Otopale to kuzpy, obdarte, z nesotu zadartym noskiem i parą odchonych osu w twarzy dawno ciemnej od opalenizny, choc to dopiero luncien, dopiero wielkanoc.

Wlasnie stowice zachodzi za wodę wielka i gładka, a on idzie ku swej kuzynowce, nie sam, z towarzyszem o lotnym na pierwszy rant oha da sie gniezdzic, ze jest znaczenie cypstey. Ich drugie ciemne smysla sie wotnie jenne stuznych, nicoranych ciemiu dnu, co ~~z~~ litoce wrogom. Drugi wygladaja jak niefle drabiny.

- Ale man patac, no, no - zartuje ten cypstey.

- Patac nie patac, ale dach nad głowaz taki sam dobry, jak loidy inny - odpowiada mielnianiec pustlowia.

- I nie boia sie tak sam, po nocy? Przycuaj sie.

- Czego miatbym sie bac? Moze strachow? Za duzy jestem na to. Jui zacstem zakonasty rok, a poltora roku wsdnys po swiecie. I zeloy niedziat, ze w patac takie sygnatem, w prawokimym! Tyle tyglio, ze byl awajuwany gwiaz Ruskoir.

- I nigdy cie nie nastrawyle?

- Jolbym byl takim strachaj, tobym zostal gorie u chlopa na robocie i za piacem bym siedzial. Ale ja molo, biedna swoboda nie niewol z sadtem. Chis, to juto nymus dalej. Chis, to potiche tu jenne tydzień. Jak wyman, to zwia sie zacmus wsdrowki po zielonych polach, noclegi w sianie, albo z iotwierzami w stodole. Z iotwierzami to dobre. Dni moza ~~z~~ creholat, to jenne na kuty, na barthi...

- Wczoraj grol dnia statem za kolejka przed grickaniz. A loidy dssunz - um sie dnu, wgnat pikkan i poniedziat, ze jui chleba zabralo.

- Wiesz. I co ci potem? Dawno ci już minieł, chodź ze mną. Świat jest szeroki i tyle na nim ciekawych rzeczy! Przecież ja, Stach, dobre ci zyczą...

Poranek w płocie stacjonującym cegielni, stręgi zarobek, rygiel i litocha obrywniki rozmiarów, jeszcze bardziej ozdobiona. Płot za to przesłonywał czerwonym niebem wieczorem, bo deszcz brakowało w nim więcej niż gotowy. Mieniący najbliższej uliczki gotowali straż, przy pomocy tego dawno-mego opłat, ile razy abralito pienizki na węgier i dnew, lub też ilekroć odmówiono im kłosa na zakup tych drożdży.

Chłopak-więcza siedzi na dziedzińcu zarosty pokrywający i pełen gruzu, a pomysł się z czoła sprawności, bywałoby dobre zjawisko te haty. Stach usiłował go naśladować, lecz ~~obawia~~ litocha jego nie były tak pewne. Potykał się coś ze trzy razy na rumowiskach, że dwa razy popałył w garncu pokrywę, a nawet boleśnie otarł sobie nogę o ~~ciężki~~ ceglę.

Gdy stanął przy wozie pieca zamieszkałej gmer Wacha, Stach zdziwił się:

- Przecież tu pustka!

- No, pustka. To co?

- Myślałem, że masz jakieś rzeczy.

- A poco mi to? Ubranie i potłoczone mam na sobie. A lito mi da jeść, to da i wino, i Tyko.

- No tak, Wachu, tak - Stach nie chciał już wygłaszać swoje myśli. Ale więcza odgadnął ją:

- Ty, mój synu, chciałbyś zapisać, gdzie toczysz i w której komnacie leży cyfry kosula na niedzielę? Prawda?

- Właśnie...

- Kosula, się pienie. Samemu się pienie. U wach.

- Robinson takie sam to robi!

- O, właśnie. Trafił.

- Wiesz, Wachu, przyjdź z tobą na więcza, ale...

- Oho, już jest i "ale"...

- Ale tylko wtedy, jeśli Józek z nami przyjdzie.

- No to zrobione, bo Józek naprawdę przyjdzie. Uważam się z nim i zajął tu do mnie ~~zajmę~~ jak się ściami. To fajny kawałek i oblatamy go śmiesznie, nie tak jak ty, bo ja krowko...

- Józek już dawno mi obiecał, że razem wyruszymy do Gdańska, a stamtąd do Ameryki. Mam nadzieję w Brazylii... I pewno, nim dojedziemy, będziemy mieli niezły kawałek przygody.

- E, bracie, przygody to i u nas możemy mieć takie, że żyjemy nie wyjdzie!

- Ale jakbyś chciał zawsze zwyciężyć w różnych strasznych okolicznościach...

- Stachu, ile ty masz lat?

- Dwanaście.

- Powiem ci tylko tyle: zadzwoń cyfry o Indianach i za często chodź do iluzjona...

Stach zgubił się w milczeniu. Jasne było, że towarzysze traktują go nieco zbyt protekcjonalnie i z wysoce. Ostatecznie, każdy z nich miał swoje przygody z własnymi wyjątkami. Czy to nieważne? Żeby wyjechać z tego świata o Stachu Wachu, gwarantuję podróżnik po puszczach Brazylii wypalił:

- Mam nawet kompas! I mapkę setabonę okolic Radomia!

- Nosi tu ze suba?

- Naturalie.

- Mite dziecho z ciebie... A czy ~~nie~~^{wiesz} co się z nami stanie, jeśli zatrzyma nas ~~tu~~^{po} drodze patrol niemiecki? Jak myślimy, jakie podjęzienia niemiejsi żandarmowi, gdy znajdą u ~~nas~~^{nas} wiośni wiojskiego majora? Stach opuszcł głowę na pierś, poczynił nysat z hiesionki swe szarby. Wskazie kompas - prądnie pwnickiawsty, zepsuty - legł wśród grobów, a miatr ~~tu~~^{do} miot drobne strzypki papiera at nad breg jeziora.

- O! to mi się w tobie podoba. Wzrostu rozumiesz w lot. Ciepła biała, że za baroko na ciebie m. Długo chudzieli...

Czerwone niebo mroczniło coraz silniej. Ciemności napływała od wschodu, zara-
cając na konia cętelni razbek swego płachca. Sita na wysłupici bergtośnie
jak niepowodowany atak i zdobywała odrazu dwie pozycje: zenit i toń.

- Niedość opisywano to miasteczko - gwałt wacek - trzeba dołączyć obywateli z jorkiem, co i jak.

12

Tęgo nieczem jezioro, jak zwykłe, patrzyło w niebo i jak zwykłe, fale cesały się białymi grzebieniami wzdłużając w biegu. Woda omynała kamienie drogi, bo niosła, talenty sięgały aż do ~~złoty~~ poziomu jezdn.

Jeżeli stał nad piękną kwią, zamyślony, a do niego przyszedł pasterz pasterz, który
fali. Zginął się, a on raz, podnosił z ziemi ~~piasek~~, obciążony przez męt
kamyczki, aby przenieść je ^{na jezioro} w innym miejscu. Jeżeli więc nie, ka-
myczek skakał po nodzie prędko albo szybko, odbijając się jak piłka
Biała, biała, czerwona rozróżniona mu się od tego pochylania i od za-
machów. Pod czerwonym, w głowie języcznej, nie się nie okazywało. O, czekał
na matkę, która wraz z siostrą poszła na starych kolejską przebiec
ziemią, ała najbliżej. Jeżeli czekał i czekał kamyczki zapamiętałe, a to,
cathonnie pochłonięty to czerwoności.

- jak się ułam, żrebaczkę - ustyniał nagle za sobą.

Odmitać się i weny jego, jencze pnie czerwonego blasku zorky i lśnienia
rody, objęty prostą miedzą, zwinioną, lecz dobre znała!

- Jaisho. - konyhust shōpak i rancat niz w ranniona praybysia. zachynsity
zabara i rannienie mundura scarego, melusynita niz w bratvshim us-
aishu macij'sha z drumym orathiem.

- Jashu, wolep ci dali, cry...

- Polov. Bytem n syntaku jakis cas i et, na dva dni napradem do domu.
- Rannu byti? ~~da~~

- wie, chlorwasser ist

Bracia potrzebni są sobie. Nie mam lepszego przykładu.

rozczulił spokój rodzinny miasteczka, szepotał jemu i to, że brat rośnie, a młody mł. jeszcze jaśniejsze niż dawniej. Jakiś zwiór wzmocniony był, widziałem starszego brata, który był dla niego kimś najważniejszym, najlepszym, najbliższym. Ładowało mu się, że matka go zupełnie nie rozumie, a siostra - ot, dziewczyna, surowa, dziewczyniśki sprawa mi zajść.

- Gdzie mama? - zapytał żołnierz.

- Na staji. Ziemniaki prozebrana.

- To pewno nieprosto Doroci?

- Czasem to i ^{to} jednostek z niecora, czasem wreszcie.

- A Łosha gdzie?

- Z matha.

- Tyłko ty, Żrebaczku, leśniczujesz, hańcyesh po nocie puszczasz? No, wiesz, ja się do ciebie, nie bij się!

Rozumując tak došli do chaty i tam, na wysoki progu wnieśli obok kota, który popatrywał za śmigającymi przez sad ptakami.

- Powiesz, kicia - usmiechnął się legionista. Półświatku od karabinu przyciągnął przysyła futełka starego towarzysza zabaw. Ogarnęła go atmo-sfera dzieciństwa i ~~zaczęła się~~ domu. Zwrócił, czy to tak dawno prze-żył być dzieckiem?

Józek śledził niastując karabin brata i rozważał w myśli, czy pozwolić mu o zamierzony wieczór z domu. Przez chwilę milczał obaj.

- Wiesz - zaczął Jasio - chciałbym z tobą pomówić jak z dorosłym.

Przytulił ramieniem umiastła się tu góra a dół czy spojrzeli w twarz zotwierca.

- Jestem w Legionach, stoisz ojczyźnie, ale chwilami napadają mnie różne wątpliwości. W tej chwili o tym pomówić, jeśli nie z bratem, chociaż tym bratem był Żrebaczek...

- Powiedzieć, że to poważna rozmowa, a teraz mów ten Żrebaczek...

- Dawno cię tak w myśli nazywam. Słowa myśli w sklepach o domu. Wyobrażam sobie, jak Łosha się stoi, jak ty pływaj, jak matha gotuje albo piersi, jak do łowiczoła idziecie w niedzielę całą trójka...

- Wic i tym nie widać, waniego - uśmiechnął Jasio.

- Kiedy się leży w sklepie i widzi gwiazdy, a równocześnie kule świszące i kopiące w ścianę i ścianę gąszczu, to wszystkie sprawy domowe wydają się takimi mglistymi z pistoletowej kuliszki.

- Kiedy ostatni raz byłeś w domu?

- Na Redwie Piśmubliwego. Oponowem o tych wstępnich bitwach później, jak mama wróci. A tobie, ty jesteś przecież mężczyzną, choć jeszcze matym, tobie zwierną się z moich wątpliwości... Wiesz, niechcący mi się wydaje że ile zrobitem wychodząc z domu do Legionów. Ojczyzna - bardzo ro-zumie, niechła rzecz. Ale czy miałem prawo opuścić matha w najcięż-szej chwili jej życia, gdy ojciec umiera? Został w jednym domu bez matki i bez najstarszego syna. ~~Wiesz, że to jest~~ Czy dobrze się stało ojczyźnie, kiedyś stając owej matce?

- Jasne, ja to trochę rozumiem - odpowiedział Jasio - ale mama nie ma do ciebie żalu.

- Tu nie chodzi o żal. Istnieje prawo i obowiązki. Jest prawo rodziców ale jest i prawo dzieci. Czy ty wiesz, że kiedy miałeś dwa ~~trzy~~ lata, mama wstawiała cię z praniem i że ta prania, która ona nosi na stole, to znak po płożonej biele?

- Wiesz, tyłko jakbyś zapomniał o tym...

Zamyslił się obaj. Serce "Żrebaczka" niepodległe nikomu i nicemu, uległo ścisłemu się bolesnie. Porat mój prawda! Bo prawa i obowiązki, są stugi których spłacać niepodobna. Młoda dusza swobodnie i nie myśli o niczym, póki się nie zrozumie, co to matha, co ojczyzna, co prawo. A kiedy się zrozumie, przestaje się być "Żrebaczkiem", bo to jest chwila narodzin człowieka.

- Was jest dwóch - rzecht Jurek, westchnięsowy cisłko. - Ty bszkiesz stwyrz
djonyż, a ja - matce.
- Wiedychan, zrebacłku, jak miech kowalski...
- Wie nazynaj mnie tak.
- Dobrze, braciśku, ale powiedz mi, co znaczyło to westchnienie?
- ~~postaw~~ postawił karabin opierając go o ścianę. A wtasnie mroki oblat niebio-
sa i mrocz, a w ciemności taktowej mówi o swoich planach.
- Jest tu jeden chłopak, z ucielinierów. Bez ojca i matki... Ach, rozumiem,
teraz rozumiem, dlaczego on taki - bo bez ojca i matki - wysłał głosił
~~ten~~ Jurek - Ten chłopak, ja i Stach, nien ten od pani nauczycielki,
niektórych dostać się do Gdańska, a potem do Ameryki.
- Ho, ho!
- Ty myślisz, że mnie chodzi o jakieś tam przygody, czy inne dzieciństwo?
Nie. Mnie tu mrodo, fajku. Zawsze tyłko to miasteczko i jezioro i ten
dłub z otzbanami albo przemawia ziemniaki. I nic się tu nie dzieje!
Płynam po jeziorze sam, bo inni chłopcy mrodo mnie talire. U nich nie
tyłko organki, karty, papierowy. A ja, ja ~~nie~~ nie mam czego kłać, ale
ja tak żyć nie mogę! Nie mogę!
- Legionista gładzi teraz jaimyjsa w mroku cunpory.
- Uspokój się. Dorastasz i dlatego ci trochę cisłko, ale to minie. Myśl,
że wstydziłbyś się sam siebie, gdybyś niecht z domu po inne życie, a
matka zostanie dłub z otzbanami, przemawia ziemniaki i w dodatku
samotności.
- Troje nas, nie ja jeden.
- Ale ja jestem żołnierzem. Mnie wójs do was z łupkiem, a mnie za
dwa dni kula mnie zeknie jak budył...
- Matka ma Zosię.
- Zosia myjokie za mązi, pojokie do obcych. Matka zostanie samotność.
A gnieie do starości już jej niedaleko.
- Ja niemi, fajku, ja zostanę. Tak tyłko mówię o Zosi, bo mi żal tego
Gdańska i Ameryki.
- Nie żałuj. ~~W~~ W cudzego kraju zawsze się tęskni do rodzimych stron.
A zents, nie wiem nawet czy dojechali byśmy do Ameryki. Teraz
wojna. Łochie podwodne zatapiają okręty...
- Jurek nagle mwał i wstał, ujrzał ca płotem dwie kobiece postacie.

III

Jezioro ~~sp~~ spogłozdało ku niebu, na hłonymi zawył się dźwięk, ~~nie~~
miedzianny krisek. Stał on za regorami cegielni, sięgając kłotem gruntu,
tak, że z miasteczka można było widzieć na jego tle ciemną sylwetkę
chłopca. Stawiając wielkie kłoki abliat się do dżury w płocie, gdzie las
pohayw poltonem go nitat. Przy ciemnym kriseku postawie str-
szyło cisza, niema, i głucho.

- Jurek! - odewał się głos zabramiaty łchiem - Jurek, to ty?

- Przecież widzisz, że to ja nie wtasnej osobie! Wytar z ciemna, bo nie
wiem, gdzie się szukać.

z mroku olbrzymiego pieca wysunęła się ~~mała~~ drobna figurka Stacha.

- Jak się nazywa, ~~jak się nazywa~~ podaj grabs.

- Dobrze, żeś przyszedł. Tak tu straszno...

- A co, sam jesteś? Gdzie Wacek?

- Wacek przeszedł od nas - objaśniał Stach - Prehat na ciebie długo. Gadaliśmy o wyprawie. A potem powiedział, że kiedy ty nie przyszedłeś na umówioną porę, to niedługo z wyprawy nici... I przeszedł.

- Ty, naturalnie, nie odważyłeś się ruszyć z nim razem.

- Nie byłem przygotowany na to, że to dziś, zaraz.

- On też nie był przygotowany.

- Ach, on! On to mój stach! A potem... zostatem sam... trochę się bałem...

- Wracamy do miasteczka. Późno jest. Pośpiesz się do domu za świętą, że się po wocy wstanie.

- Wstanie mi jedno. I tak często na mnie brzydzę, ~~jak się nazywa~~ ~~jak się nazywa~~.

Ale dlaczego ty nie przyszedłeś? Co? Dlaczego?

- Wacek zgodził się z wyprawą - nici.

- Może jutro go dogonimy?

- Nie. Ja tu zostanę.

Było coś takiego w głosie białogłowego Józka, że maty a niedobry Robinson nie pytał nawet dlaczego ~~brzydzę~~ brazylijskie plany rozchylały się jak dym. ~~Przez~~ Przez czas dłuższy silił w milczeniu. Jawnie Stach gromił i wyhyhlił:

- To poco ja podatem matę?

Ale ten chłopak nie wytrzymał u Józka w potęgę. ~~On~~ On mógł nic mu nie było wiadomo, a poza tym głowę miał nabita różnorodnymi sprawami. Senny i znużony szedł a dźwiękami wydawało mu się, że ciągle jeszcze rozmawia z bratem. Ochnął się nieco i spmytował przed bramą siostry.

~~Przez~~ - Dobranoc, Józku... I nie bój się taki jakis, bo mi się wydaje, że gdzieś w nas się na mule...

- Kto by się tam na ciebie gniewał! Dobranoc, maty.

W domu Józka wspany już spali. Sprawował się więc ciemno i nie zapalał światła. Długo ciemnoczerwony krzyż świecił w samą ochotę sponad strachistyl niez kociota. W sumie ~~ciemno~~ ciemnego blasku zwróciła się sucha, z grubymi żyłami doświadli. Chłopiec rozbierał się szybko i spoglądał raz po raz na te doświadli, jakby już niedługo poraz pierwszy.

Wrećcie pociągł się na Józku obok brata, pachnącego jakos obco, rozchodzącym mydłem i ~~grubą~~ grubą bielizną.

- Jakiś, spier? - szepnął białogłowy, ale odpowiedział mu milczenie, tym głębsze, że upadły w nie ciche oddechy śpiących. Milczenie to gołotwórczo i Józka.

Widział domkiem w sadzie, nad drugą, tocząc się tuż u toni i nad wstępującym się od ~~blasku~~ wiatru obranem ~~stata~~ wstata noc. Pod jej płaszczyzną języczko młodo się do brzoń mżesc blask krzyżca i ~~przeglądając~~ przeglądając na młody piach drobne kamyczki, mgiełki ~~szczytów~~ desek i potamań, sentorów, traw.

Józef Czeczowicz

Czechowicz, Józef (1903-1939) (autor), *W miasteczku nad wodą*

Rodzaj:

Twórca/wytwórnia: Czechowicz, Józef (1903-1939) (autor)

Miejsce powstania: Polska (Europa)/miejsce powstania

Technika: stemplowanie pieczęć lakowa
pismo odręczne

Tworzywo: atrament czarny
papier

Wymiary: Wysokość: 20,4 cm, Szerokość: 29,8 cm

Słowa kluczowe: Kołodyńska-Mossego, Bronisława (1908-1970) - kolekcja
opowiadania
proza
utwory dla dzieci
dwudziestolecie międzywojenne

Nr inwentarzowy: MC/Rp/49/3/ML

Stała lokalizacja: Muzeum Narodowe w Lublinie, oddział – Muzeum Literackie, filia - Muzeum Józefa Czechowicza, ul. Złota 3, Lublin